



Na dziewięćdziesiąte urodziny mojej Mamy

Są takie zdjęcia w rodzinnym albumie, chwile zamknięte na kliszy fotograficznej. Czasem pokazują szczęście, czasem zadumę, smutek. O czym myśleli nasi bliscy, co robili zanim stanęli do zdjęcia, dokąd poszli później? Zapraszamy do wspomnień i współtworzenia cyklu opisującego rodzinne fotografie. Teksty prosimy przysyłać na adres Biura Promocji Miasta (ul. Zdrojowa 2b), prosimy także podać imię i nazwisko autora tekstu oraz, jeśli to możliwe, kopię opisywanych zdjęć.

Jest dziesięć dni starsza od drugiej Rzeczypospolitej, dlatego łatwo zapamiętać tę datę. W Słomkowie jeszcze dzisiaj spogląda na południe swoimi oknami wiekowy domek. Z daleka widać jego bielone ściany podparte narożnikami z czerwonej cegły i przydomowy ogródek tonący w jesiennych astrach. To tam w domu wujenki Agnieszki 1 listopada 1918 roku przyszła na świat jako czwarte dziecko, ale pierwsza córka Weroniki i Aleksandra, moja Mama, która dzisiaj kończy 90 lat.

Stara, poźółkła fotografia przechowana przez bratową Helenę, uratowana przez jej córkę Barbarę, odrodzona przez komputer ukazuje kawałek świata mojej Mamy z 1925 roku. Na zbiorowej szkolnej fotografii sto dwadzieścia dwoje dzieci z Brzeźna i Słomkowa wpatrzonych w obiektyw kamery wypełnia całe zdjęcie. W centrum odświętnie ubrany kierownik szkoły, a gdzieś w tłumie dzieciarni - dwie nauczycielki. W trzecim rzędzie od dołu z lewej strony, jako piąty, stoi Edward obok - jego młodsza siostra Zofia i starszy brat Józef. Bracia opiekują się siostrą, bo ona ma dopiero siedem lat i jest w pierwszej klasie. Edzio jest w trzeciej, a Józef już w czwartej. Biały, wykrochmalony fartuszek z falbankami na ramionach wskazuje, że nie jest to zwyczajny, szkolny dzień, szczególnie dla pierwszaków, w tym dla małej Zosi. Jeszcze zwracają uwagę włosy. Nie są to popularne w tym czasie wśród dziewcząt warkocze, ale czupryna kasztanowo - złotych włosów - rudych, jak mówią mniej życzliwi. Koloru na fotografii w kolorze sepia nie widać, ale takie pamiętam z przeszłości i one też odegrały ważną rolę w jej życiu.

W 1932 roku Zosia ukończyła pięcioklasową szkołę podstawową i epizod słomkowski w Jej życiu zakończył się definitywnie. Dziedzicowi nie spodobał się upór Aleksandra, który stanął w obronie wyrzuconego za jakieś przewiny parobka i także został zwolniony.

W taki oto sposób Białkowscy trafili na Zgodę. Mijając zakręt z krzyżem, piaszczysta droga biegnie przez wieś i wślizguje się w otoczony wierzby gliniasty wówozik. Wkoło widać liche, piaszczyste zagony żyta, ziemniaków i turkusowego lub żółtego łubinu. Tam była nasza rodzinna Zgoda. Jednego lata majster Antek z pomocą rodziny postawił chałupę. Choć ściany miała tradycyjnie z gliny i pobielone, a strzechę jak wszystkie chałupy, jednak była najpiękniejsza. W oknach stały „kaźmirki” w ciepłych czerwieniach. Podwórko, ogrodzone płotem z równo przyciętych sztachet, było co rano czysto zamiatane. W ogródku z jesiennymi astrami i szparagami, których strzelistopękate korony łodyg tworzyły zagajnik i miały praktyczne zastosowanie jako miotły, były też zwyczajne warzywa. Wierzby przy drodze i wisienki w sadku

tworzyły malowniczą oprawę domu.

Przewracam karty rodzinnego albumu - Mama jako podłotek ze swoim bratem Bronkiem - w mundurze ułana. Broniek służył w Brodach na kresach. Wielkanoc spędzał w rodzinnym domu na Zgodzie. Spacer do kościoła w Aleksandrowie z białym ułanem, bo tak ich nazywano, był wydarzeniem niezwykłym dla siedemnastoletniej panny. Mundur, szabla przy boku, ostrogi, czapka ułańska, epolety i szamerunki wzbudzały powszechne zainteresowanie, a panna idąca obok sądziła zapewne, że to za nią się wszyscy oglądają. Niedługo po tym spacerze Zosia zaczęła pracować w ośrodku kolonijnym w Ciechocinku. Jej pracowitość i zaangażowanie zostały dostrzeżone przez pracodawców. Wkrótce powierzono jej szefowanie kuchnią, a w 1939 roku miała wyjechać wraz z ostatnimi letnikami do Warszawy i tam objąć podobną posadę w kantinie wojskowej. Wszystko było załatwione, listy polecające napisane, mieszkanie czekało, niestety, wojna pokrzyżowała plany. Nie tylko Jej. Przechowały się z tego okresu fotografie, na których pozują schludnie ubrane młode kobiety na tle ośrodka z podpisem „Ciechocinek 1939 rok”.

Ważną rolę w Jej życiu odegrały dwa przedmioty: długi, czerwony, włóczkowy szalik i męskie buty. Czerwony szalik fantazyjnie przewiązany na szyi miał chłopak, z którym tańczyła na wiejskiej zabawie. Właścicielem szalika o choczko hulającym tego dnia z Zosią był Wróbel z Górków, jak mówiła o nim kuzynka Gienia. Ten Wróbel z Górków - Józef - za niecałe trzy lata będzie Jej mężem i zostanie moim Ojcem. Ten sam szalik na szyi miał Józio 13 grudnia 1939 roku podczas drogi do kaplicy „Pod Orłem” w Ciechocinku, gdzie staruszek ksiądz udzielił im ślubu. Ulubiony szalik pojechał z Nim pociągiem, który 7 lipca 1940 roku w południe wyjechał z dworca w Ciechocinku i zawiózł go do Bad Oldesloe pod Hamburgiem. Szalik został w Niemczech, bo Ojciec, uciekając rowerem z miejsca zesłania, o szaliku nie pomyślał. Męskie, eleganckie, czarne półbuty, w których chodził od święta, a które były przedmiotem pożądania młodszych braci, i o które dbał jak mało kto, zostały zagrożone powołaniem do wojska. Do wojska wziąć ich nie mogli - w domu zostawić też nie, bo by je stracił. Kto mógł bezpiecznie przechować je przez dwa lata wojska? Padło na dziewczynę o kasztanowych włosach, czyli na Zosię. Zosia przyjęła depozyt o choczko. W tych butach poszedł do ślubu. W nich też zapewne, choć tego nie widać, jest na dwóch podobnych fotografiach. Pierwsza z nich, z wiosny 1940 roku, ukazuje szczęśliwych, uśmiechniętych małżonków pozujących do późniejszej,

ślubnej fotografii. Drugie zdjęcie, z lipca 1940 roku przedstawia tę samą młodą parę, ale w tonacji smutnej, bo jutro Jej męża wywożą do Niemiec na przymusowe roboty.

Józio słał fotografie i tęskne, choć krótkie listy. Mama była sama. Jesienią 1940 roku ciężko pracowała mimo zaawansowanej ciąży. 20 listopada, nocą, w okolicznościach jak z taniego romansu, spotkała się ze swoim Józkiem, który lekkomyślnie przez trzy tygodnie z Bad Oldesloe jechał rowerem (!) przez hitlerowskie Niemcy i dojechał na urodziny swojej pierwotnej córki Celinki.

Mama i Ojciec - uciekinier żyli ze strachem na dachu. Raz udało się Ojcu uciec przed żandarmami oknem. We wrześniu 1941 roku Ojciec pracował przy zbiorze ziemniaków, a mama w domu krzątała się przy Celinie. Tym razem się nie udało się. Babcia Weronika za niesfornego zięcia i za kłamstwo, że nie wie, gdzie jest, otrzymała kilka razy. A dla Mamy, która idzie z Józkiem, długa droga ze Zgody na gestapo w Aleksandrowie mija jak mgnienie oka. Ponownie została sama, a co z mężem, tego nikt nie wie. Nadchodzi smutna Wigilia 41 roku. Weronika stroi choinkę, Aleksander jej pomaga, a Mama pochylona nad kołyską Celinki zapomina o świecie. I nagle... głośne, swojskie pukanie do drzwi i radość. Znowu są razem, choć na krótko. Ojciec trafił do Hoffmana, bauera w Złotnikach, gdzie będzie pracował do końca wojny, a urlop na święta dostał, aby naprawić buty, które odmówiły posłuszeństwa.

W lutym 1942 mroźnym wieczorem przed dom zajeżdża wozem w parę koni Józio-przymusowy robotnik. Przypadek sprawił, że Hofmann musiał dać do pracy w lesie w okolicach Włocławka pracownika z parą koni. Trafiło na Ojca, który przy okazji wyprosił dzień urlopu. I tak, w dramatycznych okolicznościach, ale w obecności Ojca, ledwo żywy, przyszedłem na świat. Jest fotografia, na której Mama ze zboląłą miną trzyma płaczącego niemowlaka w ciemnej czapce, czyli mnie. Jest też inna fotografia, w takim samym formacie, zrobiona wiosną 1943 roku, na której, niedzielnie wystrojoni rodzice, trzymają: Mama - Celinę, a Ojciec mnie. W końcu stycznia 1945 roku Ojciec kolejny raz ucieka. Tym razem wyskakuje z pociągu z transportu do Rzeszy, wrócił na Zgodę i rodzina znów była w komplecie. A pod koniec roku urodziła się Marychna.

Wtedy rozpoczyna się krótki epizod związany z Plebanką. Brat babci Weroniki - Leon - zarządzał majątkiem ziemskim Plebanka, który władza ludowa przejęła po przedwojennym właścicielu. Samodzielne mieszkanie w malowniczo położonym nad Jeziorem Ostrowskim dworze rysuje piękne perspektywy. Tam w Wielkanocną niedzielę był chrzest Mani. Była bryczka, konie, piękny sad i eskapady na połów ryb w jeziorze oraz gromada kuzynek. Były też dwie niemieckie rodziny z dziećmi w naszym wieku, oczekujące na wyjazd do Ojczyzny, tylko, że pewnie od wieków ich Ojczyzna była tutaj, ale wtedy nikt o to nie pytał.

W 1946 roku Rodzice przeprowadzają się do Ciechocinka. Oboje zajmują się handlem, który pochłania ich bez reszty. Ojciec jeździ po kujawskich wsiach i skupuje od chłopów żywność w każdej postaci. Raz lub dwa razy w tygodniu oboje jadą na targ do Torunia, by zamienić to na pieniądze. Tak rodzi się kapitalizm, który często wymaga ofiar. W styczniu 1947 roku rodzi się i umiera nasza siostra Janina. W tymże roku umiera babcia Weronika, a dziadek Aleksander rok później. Ciężka praca zbiera żniwo. By uciec od wspomnień,

przeprowadzamy się do Kruszyny, pensjonatu o przedwojennych tradycjach, będącego własnością hr. Dębskiej. Rodzice nadal ciężko pracowali, a hrabina Dębska doceniała to i lubiła nas. Tam na świat w 1950 roku przyszła Elżbieta, dla nas Elżunia, ukochana wówczas córeczka i siostra. Celinka już chodziła do szkoły, ja z Manią do przedszkola, a przygodne opiekunki zajmowały się Elżunią. W albumie jest fotografia z 1952 roku, na której w parku Zdrojowym na mostku, mała, szczupła Celinka z warkoczami jak mysie ogonki trzyma za rączkę Elżunię. Jest to jedna z nielicznych pamiątek z tamtych lat. W 1952 roku Polska Ludowa nacjonalizuje Kruszynę, a pani Dębska wyprzedaje ruchomości i pensjonat znika z naszego życia. Jeszcze jakiś czas Hrabina utrzymywała z nami kontakt, nawet kiedyś ojciec odwiedzał ją w Warszawie przy ul. Smolnej, gdzie mieszkała z synem. Kruszyna powoli popadła w ruinę, a my przenieśliśmy się do Dworku Słonecznego. W maju 1953 roku w dramatycznych okolicznościach w aleksandrowskim szpitalu umiera Elżunia. To tragedia dla całej rodziny, ale najbardziej cierpi Mama. Kiedy wracałem ze szkoły, mama najczęściej klęczała przy szafie, w rękę trzymała kaftanik Elżuni i szlochała. Aby zagłuszyć pamięć, rzuciła się jeszcze bardziej w wir pracy. Lecz nie przekładało się to na status materialny rodziny. Niestety, w tamtych czasach ciężka i uczciwa praca nie była gwarantem sukcesu ani nawet stabilizacji. Mama nigdy z resztą nie umiała się upomnieć o swoje, zawalczyć. Nigdy nie wykorzystwała przedwojennych papierów potwierdzających Jej umiejętność świetnego gotowania i zarządzania kuchnią, pieczołowicie zawinięte spoczywają do dziś na dnie szuflady. W 1956 roku, po tym jak Mama prawie nie straciła życia przez pracę ponad siły, przeprowadziliśmy się do mieszkania w oficynie „Sienkiewiczówki”, którą przejął „Orbis” od państwa Kuncewiczów. Ona, tytułarna hrabianka, pamiętająca dwór carski w Petersburgu, a on - przedwojenny podpułkownik, absolwent Wyższej Szkoły Wojennej w stolicy Imperium, krytycznie patrzyli na orbisowskie rządy w swoim pensjonacie, ale z Rodzicami pozostawali w najlepszych stosunkach. Potem Rodzice jeszcze raz się przeprowadzali. Mama przeszła na rentę, a Ojciec na emeryturę i oboje przenieśli się do mieszkania w bloku. Tam też 5 marca 1999 roku zmarł mój Ojciec. Ledwie Mama zdołała podnieść się po stracie męża, a w styczniu 2006 roku przeżyła kolejny dramat: umarła jej pierwotna córka - Celinka. Dzięki głębokiej Wierze w Boską Opatrzność dzisiaj Mama skończyła dziewięćdziesiąt lat.

Mama - równolatka Niepodległej wbrew nadziejom ojców i dziadów nie żyła beztrudnie i pogodnie, jak wróżono temu pokoleniu. Przyszło Jej dojrzeć podczas najtragiczniejszej wojny, ciężko pracować i niewiele za to mieć w Polsce Ludowej. Dała nam jednak solidne fundamenty: uczciwość, pracowitość wiarę i zgodną Rodzinę. Zakręty Niepodległej jakoś w dziwny sposób splatają się z historią Rodziny. Moja Mama jest równolatką Polski Niepodległej, moja młodsza siostra Mania jest rówieśnicą Polski Ludowej, jej córka urodziła się w niezbyt spokojnym roku 1970, a wnuk przyszedł na świat dokładnie 11 listopada 1989 roku. Jest rówieśnikiem III Rzeczypospolitej.

Jerzy Wróblewski

Ciechocinek, 1 listopada 2008 roku

